

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. W Austryi: Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. W Niemczech: Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

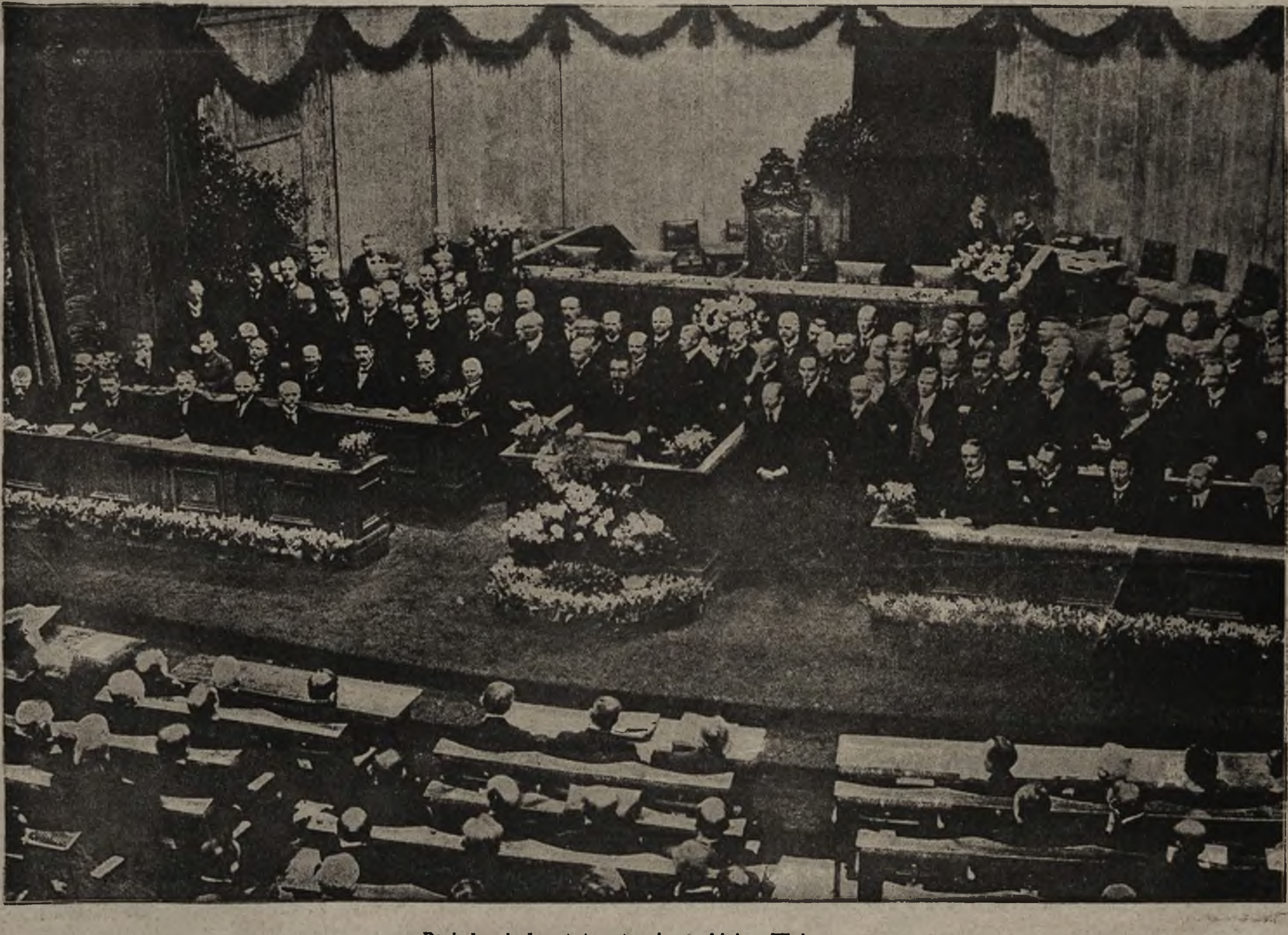
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. Kraków, 26 kwietnia 1919. Nr. 17

Przewrót w Niemczech.



Posiedzenie konstytuanty niemieckiej w Weimarze.

Przewrót w Niemczech.

W chwili, kiedy prace konferencyi pokojowej dobiegają do końca w środku Europy w zwyciężonych Niemczech wrzenie nie ustaje. Po długich zwlekaniach wybrana niemiecka konstytuanta obraduje w Weimarze nad przyszłym ustrojem państwa oraz nad tem, czy zawarcie pokoju z koalicyą pod warunkami przez nią podyktowanymi będzie dla Niemiec możliwem, czy też nie. W całych zaś Niemczech wre walka rewolucyjna, która chwilami przycicha tłumiona żelazną ręką rządu większości socyalistycznej, ale która co kilka tygodni wybucha na nowo podsycana rzeką złota płynącą z Rosyi, która jedyny ratunek dla siebie w walce z koalicyą widzi w wywołaniu w Niemczech krwawej rewolucyi.

Szereg miast niemieckich a przedewszystkiem Berlin jest obecnie prawie stale widownią walk ulicznych między Spartakowcami a wojskami rządowymi, przy prowadzeniu których nietylko karabiny maszynowe wchodzą w akcyę ale także tanki i nawet ciężka artylerya. Niemcy oszczędzone przed zniszczeniem w czasie wojny, zaczynają wyniszczać się same dzięki szalejącej wojnie domowej, która pochłania tysiące ofiar i zamienia miasta niemieckie w gruzy.

Jeśli rychło nie dojdzie do ostatecznego załatwienia sprawy pokoju, w Niemczech może się wytworzyć nowy wielki wulkan, z którego zarzewie rewolucyi może zarazić całą Europę.

Podajemy szereg illustracyi przedstawiających wypadki ostatnich dni w Niemczech.

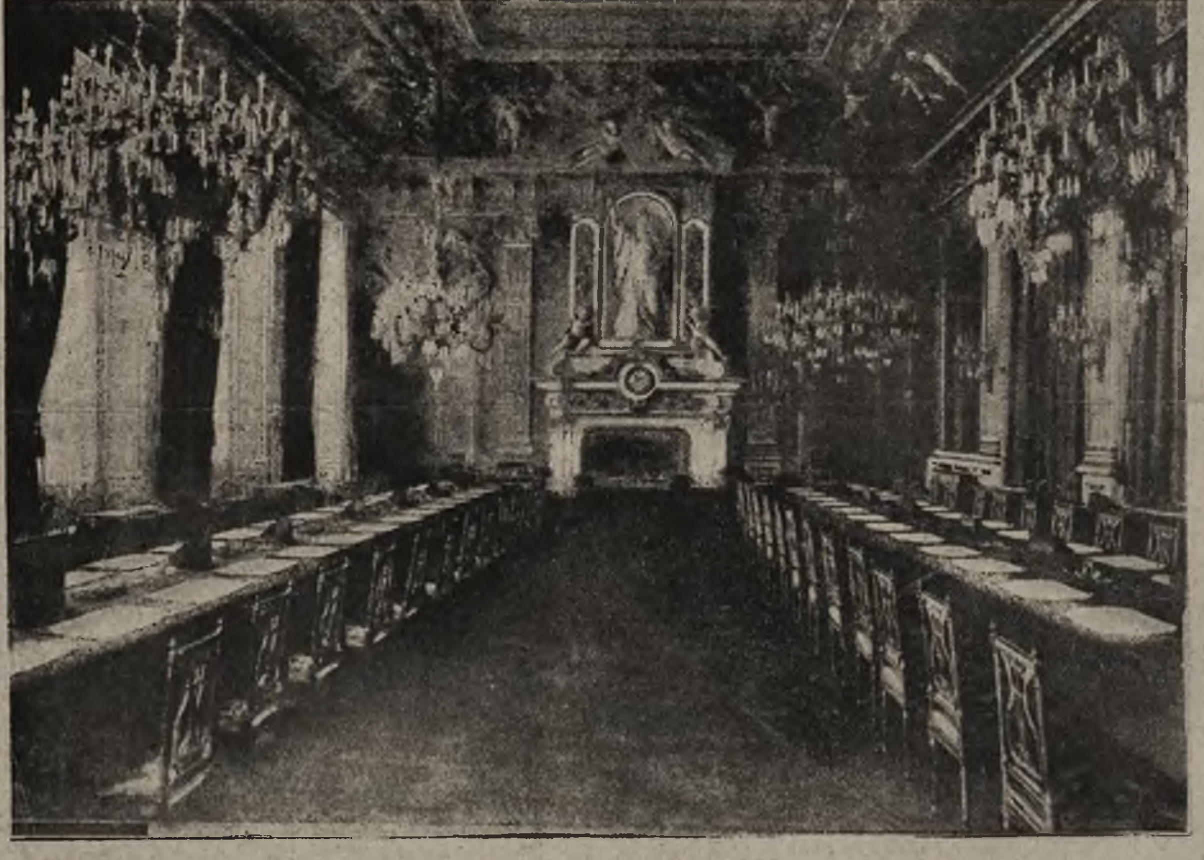


Historyczny dzień w Wersalu: Obrady konferencyi pokojowej, posiedzenie główne.

Historyczny dzień w Wersalu.

Za kilkanaście dni w Paryżu padną ostateczne słowa w sprawie pokoju światowego. Obrady konferencyi pokojowej dobiegają już końca i czynione są ostateczne przygotowania do zaproszenia Niemców do Paryża, gdzie w Wersalu zostaną im przedstawione warunki pokojowe do podpisu. Całość traktatu pokojowego składa się z dwóch części. Pierwsza zawiera postanowienia natury wojskowej i terytoryalnej, druga zaś postanowienia finansowe i handlowe. Pierwsza część traktatu musi być wedle postanowienia koalicyi przyjęta przez Niemcy bez dyskusyi. Co do drugiej będą mogli przedstawiciele Niemiec poczynić w terminie 20 dni odpowiednie ze swej strony przedłożenia. Rokowania odbędą się w Paryżu, a jedynie podpisanie układu pokojowego odbędzie się w historycznym zamku w Wersalu. Przeprowadzenie całych rokowań w Wersalu, jak pierwotnie planowano, okazało się niemożliwe ze względu na brak pomieszczenia dla wszystkich delegatów, których wraz z personalem pomocniczym jest bardzo wielka ilość.

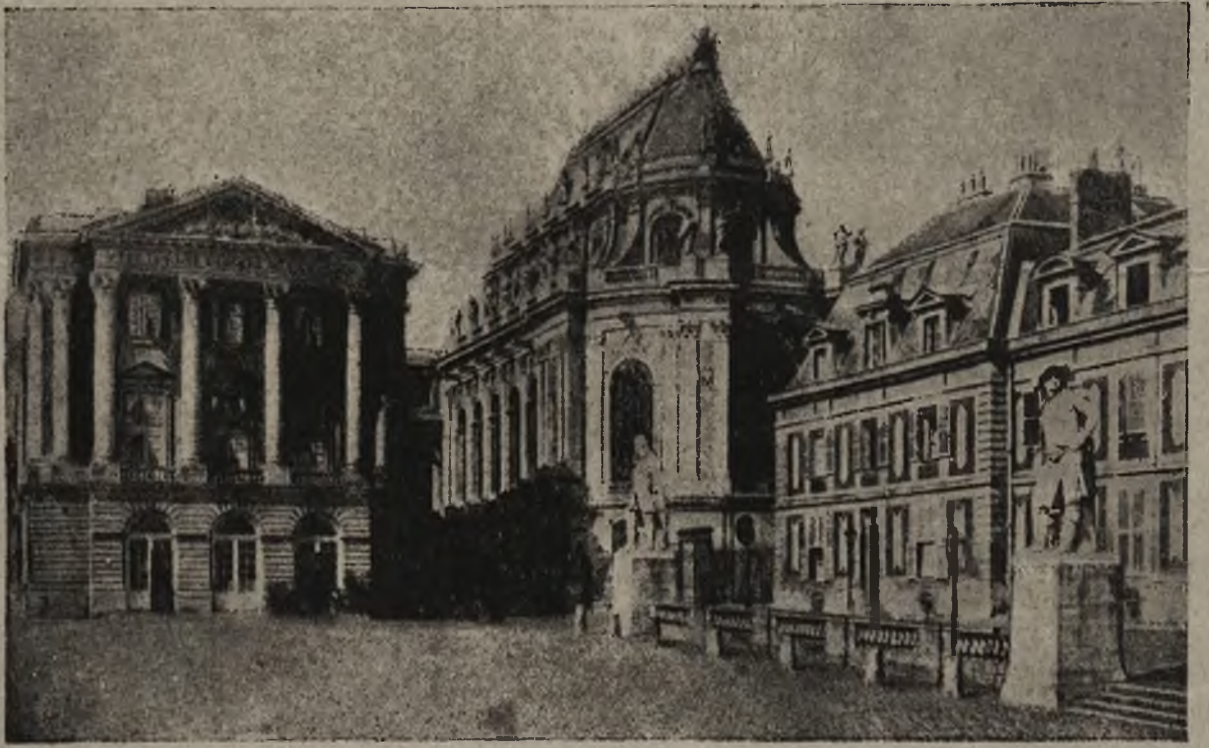
W chwili, kiedy ten numer naszego pisma znajdzie się w rękach Czytelników, w Paryżu podjęte już będą ostateczne układy. Niemcy dotychczas nie zdecydowali się jeszcze na to, aby bez zastrzeżeń podpisać to wszystko, co im koalicya do uznania przedłoży. Ze strony sfer niechętnie patrzących na



Historyczny dzień w Wersalu: Sala posiedzeń konferencyi pokojowej w ministerstwie spraw zagran. w Paryżu.



Córka Wilsona: Miss Eleonora Wilson.



Historyczny dzień w Wersalu: Główne budynki Wersalu.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

87

Może... może już niedługo. Zresztą to tak rozkosznie oczekiwać na coś bardzo, bardzo dobrego i pięknego, na coś, co przyjdzie z pewnością.

Bo wprawdzie Milewicz nie wyrzekł jeszcze decydującego słowa. ale ileż razy dał wyraźnie do poznania, że...

— Boże mój! Czem ja zasłużyłam na tyle Twej łaski! — modliła się w duchu, przejęta bezmierną wdzięcznością.

Od chwili, kiedy Milewicz wszedł w jej życie, stało się ono dla niej jednem pasmem złotych marzeń i nadziei. Od kiedy on pozwolił jej załatwiać swoje sprawunki, kupować cukier, chleb, dawać swoje kołnierzyki do prania, myśleć za siebie o całej prozie dnia powszedniego, nie czuła nigdy pustki ni tęsknoty w sercu. Miała coś poza swojemi lekcyami i dobrymi uczynkami, coś wyłącznie dla siebie.

— Moje stare dziecko... mój chłopak — myślała z rozczuleniem, biegając zmęczona zziębnięta, z bolącemi nogami po mieście, aby dla niego kupić świeżych jaj i najlepszego mleka.

Nie przyszło jej nigdy na myśl, że on może wyzyskuje jej dobroć, że jest trochę zanadto egoistyczny i wygodnicki i przyjmuje jej wszystkie usługi jak coś sobie należnego. Dziękuje wprawdzie, ale nieuprzedzony obserwator mógłby zauważyć, że te podziękowania są jakieś niedbałe.

Dobra, kochana panna Jula... wypowiedziane spokojnie, bez wybitnego zapału czy wzruszenia, ot i wszystko.

Ale jej wystarczało. Żyła jak w ekstazie. Nie nawykła do czułych słówek, do hołdów, do komplementów, wymagała tak mało.

— Późno przyszła ta wiosna, ale zato jaka cudna, prawda, panie Romanie? Moglibyśmy w niedzielę wybrać się na majówkę! Dobrze?

— Hm... może... — roztargnionym wzrokiem przesunął po niej i pomyślał:

— Dobra jest, bardzo dobra, tylko mogłaby być trochę ładniejsza i ubierać się gustowniej. Ale wygodnie z nią jest, niema co mówić.

Odwrócił od Julii spojrzenie i pieścił wzrokiem krzewy obsypane kwieciem białem, różowem, liliowem.

— Istotnie cudna wiosna. Stworzona do miłości. Gdyby tak... — dumał.

— A! Julka, serwus! Jak się masz! Dawnom cię nie widziała...

Panna Frania Grabkówna w jedwabnym, ponsowym żakieciku, w krótkiej, zgrabnej spódniczce, w kapeluszu śmiało, zawadyacko wygiętym, ale dobrze do twarzy dobranym, wyglądała ze swoją świeżą, ładną cerą, ponsowemi wydatnemi wargami i bujnemi puklami swoich i nieswoich włosów wyglądała bardzo szykownie i apetycznie.

Rzuciła na Milewicza kilka szybkich, migotliwych spojrzeń, pokazała w uśmiechu białe zęby, a kiedy Julia przedstawiła:

— Pan Roman Milewicz, artysta-malarz — wyciągnęła ku mężczyźnie białą, wypieszczoną, ciepłą rękę, z której przed chwilą zdjęła rękawiczkę.

— Bardzo mi miło poznać — podniosła i opuściła kokieteryjnie powieki.

W oczach Milewicza błysnęły zielonawe ogniki.

— Dokąd państwo idą? — pytała panna Frania, podając naprzód swój bujny biust i wysuwając nóżkę w gazowej pańczosze i lakierowym pantofelku.

Julia nie bardzo rada z tej towarzyszki, która jej przerwała romanse z Romanem, zwlekała przez chwilę z odpowiedzią, ale Milewicz rzucił spiesznie.

— Tak, przed siebie...

— Więc jeśli nie przeszkadzam, to przyłączę się do towarzystwa.

— Ależ prosimy, będzie nam niezmiernie przyjemnie — oświadczył Milewicz za siebie i za Julię, a blask jego oczu stwierdzał, że powiedzenie to nie jest li tylko banalną grzecznostką i że mu jest naprawdę przyjemnie popatrzyć na tę zalotną, przystojną osóbkę.

Panna Frania rozwiązała odrazu cały zasób swoich konwersacyjnych zdolności, sięgnęła do arsenału najpiękniejszych spojrzeń i najpowabniejszych uśmiechów.

Rozmowę poprowadziła tak zręcznie, że Julia nie mogła prawie żadnego brać w niej udziału. Ona nie umiała operować temi zgrabnemi niedomówieniami, dowcipnymi a trochę śliskimi dwuznacznikami, płytkiemi w gruncie rzeczy, a niby interesującemi uwagami.

Z lekkiem zdziwieniem zauważyła Julia, że Milewicz zdaje się jednak gustować w takiej paplaninie. Mówi z takiem ożywieniem, oczy mu błyszczą.

Nagle wydawało się Julji, że słońce świeci mniej pięknie, kwiaty przybladły, wokół posmutniało wszystko, a krzykliwy głos i chichot Frani dzwoni nieznośnie, jak brzęczenie natrętnej, uprzykrzonej muchy.

— Wy, malarze, jesteście niebezpieczni ludzie — mówiła panna Grabkówna, manewrując w ten sposób swojem okrągłem, w jedwab obciągniętem ramieniem, że dotykało ono co chwila ramienia mężczyzny. Dotykało zlekka i cofało się zaraz niby spłoszone.

Milewiczowi na bladą zwykle twarz wystąpiły małe wypieki.

— Dlaczegoż to jesteśmy niebezpieczni, proszę pani?

— O! Zaraz mam wszystko powiedzieć!... Niech się pan domyśli.

— Czego?

— Widzę, że pan niedomyślny...

— Jak czasem.

— A dzisiaj?

— Chciałbym być domyślny, ale się boję.

— Doprawdy? I to mówi niebezpieczny człowiek, artysta? Śmiałym szczęście sprzyja.

— A zatem? — zajrzał w jej roześmiane oczy.

— A zatem nic! — odwróciła głowę i kokieteryjnem spojrzeniem obrzuciła jakiegoś przechodzącego oficera.

— Co oni plotą? — myślała Julia. — To są przecież nonsensy.

Milewicz zauważył spojrzenie rzucone oficerowi i z ironią rzekł:

— Widzę, że pani potwierdza zasadę: za mundurem panny sznurem!

— Co się też panu zdaje!

— Mam przecież oczy i widzę dobrze.

— Ale pan nie umie patrzeć.

Ptasim ruchem przechyliła głowę na bok i opaliła go płomieniem długiego znaczącego spojrzenia. Z tą kokieteryjną miną, z ponsową wargą lekko przyciętą białemi zębami, zgrabna, szykowna, była w tej chwili zupełnie ładna. I silniej niż kiedykolwiek promieniowała od niej kobiecość zmysłowa, a pełna sprytu.

Milewicz dosyć nieśmiały z natury, niewiele miał doświadczenia co do kobiet. To też zmysłowy powab panny Frani pociągał go, a braków nie dostrzegł.

— Powiada pani, że nie umiem patrzeć? Wobec tego trzeba mnie nauczyć. Jako malarzowi bardzo mi się to przyda.

— Niech pan więc szuka nauczyciela.

— Wolałbym nauczycielkę.

— Jeżeli pan znajdzie...

— A gdyby tak pani zechciała?...

Frania zaśmiała się głośno. Julia wzdrygnęła się, jakby ją ten śmiech fizycznie boleśnie ukłół.

— O, jaki pan odważny! Więc pan nie bałby się takiej nauczycielki? A jeżeli ja jestem bardzo surowa?

— Postaram się być pilnym i posłusznym uczniem.

— A cena?... Moje lekcye są bardzo drogie!

Zatopił błyszczący pożądaniem wzrok w jej pełnej biało-różowej twarzy.

— Mianowicie?...

Frania urwała nagle i nie odpowiadając Milewiczowi zaczęła rozmowę z Julią, która wszakże dziwnie okazywała się lakoniczną.

Zbliżyli się do mieszkania panny Ożarskiej. Stało się to już zwyczajem codziennym, że Milewicz po obiedzie szedł do niej na herbatę, przy której spędzali godzinkę na poufałej pogawędce.

Julia spodziewała się, że dzisiaj będzie jak zawsze. On pójdzie na górę, a Frania oczywiście przed domem pożegna się. Zostawi ich nareszcie samych. Nieznośna papla! Wstrętna kokietka! Romana chyba jednak nie może zajmować rozmowa z taką lalką wystrojoną. Ot, poprostu z grzeczności odpowiada na te bzdury, on tak poważnie, szlachetnie myślący... Zeby ona już sobie raz przecie poszła!...

Ale panna Frania Grabkówna ani myślała o tem, aby spełnić tajne a gorące pragnienie koleżanki. Jakby nie spostrzegając wyciągniętej ku sobie na pożegnanie ręki, rzuciła swobodnie:

— Wiesz, Julciu, już tak dawno nie byłam u ciebie, że doprawdy, mogłabyś pogniewać się na mnie o to...

— Ależ bynajmniej... — ze słabym, wymuszonym śmiechem usiłowała zaprotestować Julia.

— No, ale mogę to dzisiaj naprawić. Wstąpię teraz na chwilkę... Czy pan także idzie do Juli? — zwróciła się z obojętną miną do Milewicza.

— Tak jest.

— Hm! Szczerze mówiąc, to szkoda, że nie będziemy same. Tyle mam tej kochanej Juli do powiedzenia!...

Objęła Julię ramieniem i z ostentacyjną czułością ucałowała ją. Panna Ożarska odsunęła się gwałtownie, zacinała zęby, ażeby nie powiedzieć czegoś niegrzecznego Frani, która stukała już po schodach obcasikami swych zgrabnych bucików.

Milewicz szedł za nią, nie odrywając spojrzenia od pełnych kształtów, ponętnie zarysowujących się przez miękką tkaninę umiejętnie skrojonej sukni.

Julia wlokła się na końcu, z trudem powstrzymując łzy cisnące się do oczu. Tak jej żal było tej godziny rozkosznej codziennego sam na sam.

Z bólem serca musiała patrzyć, jak Frania obficie słodzi sobie herbatę cukrem przeznaczonym dla Romana i zajada ciastka dla niego kupione.

A on zdaje się bynajmniej nie gniewać, chociaż Frania traktuje go trochę z góry i pozwala sobie nawet na drwiące uwagi, które Julię oburzają.

Wreszcie Frania spojrzała na swój zegarek, mały złoty zegareczek z brylancikiem, istne cacko.

Julia odetchnęła z ulgą, przekonana, że Grabkówna pójdzie już sobie. Ale tamta rzekła niespodzianie:

— Panie Milewicz, niech pan tak zrobi, żeby pana nie było!...

Malarz otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Jakto, proszę pani?

— Tak to, że ja mam jeszcze najwyżej piętnaście minut czasu. Za kwadrans pójdę, a chciałabym z Julką pogawędzić swobodnie choć chwilkę.

— A zatem...

— Jeszcze pan tu! Nie zrozumiał pan! Doprawdy, jacy ci artyści są ciężkomyślni.

Julia bladła i czerwieniła się naprzemian.

— Moja Franiu, co ci przyszło do głowy? — wykrztusiła — Cóż to za tajemnice my mamy sobie do powiedzenia?

— Mamy, koteczko, mamy. No, na co pan jeszcze czeka?!

Milewicz porwał za kapelusz i w jednej chwili znikł za drzwiami.

— Franka! Ależ on się obraził...

Grabkówna machnęła lekceważąco ręką i zaśmiała się po swojemu.

— Nie znasz mężczyzn, moja droga! A zresztą niech się obrazi!...

— Ależ to mój gość! Mój znajomy... przyjaciel, więc jak mogłaś?...

Frania rzuciła na Julię badawcze, przenikliwe spojrzenie swoich niewielkich, bystrych oczu.

— Tak bardzo ci na nim zależy? A to co innego! Przepraszam, nie wiedziałam. A może to narzeczony?

Julia zaczerwieniła się i aby ukryć swe zmieszanie odwróciła twarz ku oknu, na którem stało kilka wazoników z kwitnącemi roślinami.

— Więc jednak...

— Nie... nie...

— Miałabyś też na kogo lecieć! Malarzyna jakiś z pustą kieszenią. Onby psa pewnie nie utrzymał, a cóż dopiero żony.

Panna Ożarska aż zatrzęsła się z oburzenia.

— Doprawdy, moja Franiu, ty masz dziwny sposób oceniania ludzi. A zresztą jeżeli chcesz wiedzieć, to pan Milewicz zarabia wcale nieźle. Jest bardzo zdolny, a przytem ma lekcye prywatne i w gimnazyum.

— Więc on uczy w gimnazyum? Czy ma stałą posadę?

— Tak jest.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rewindykacya zabytków.

Obrachunki wojenne dały obecnie sposobność do odzyskiwania przez poszczególne kraje ogromnych skarbów sztuki i zabytków historycznych, które w ubiegłych stuleciach zostały przez państwa zaborcze zrabowane i wywiezione z poszczególnych krajów. Rewindykacyę taką swoich skarbów sztuki przeprowadza Francya w Niemczech, gdzie osobne komisye objeżdżają kraj i wydobywają z muzeów i prywatnych zbiorów milionowej wartości skarby zabrane przez Niemców z Francyi. To samo robią obecnie Włosi w Austryi. W ostatnich dniach na polecenie gen. Segre, szefa misyi koalicyjnej w Wiedniu rewindykowano szereg dzieł sztuki, które swojego czasu Austryacy zabrali w Wenecyi. Dzieła te posiadają wartość ośmiu milionów. Znajdowały się one w cesarskiem muzeum historycznem. Na polecenie przedstawicieli Włoch przewieziono je z powrotem do Wenecyi.

Ze strony polskiej dotychczas bardzo mało zrobiono, aby odebrać te olbrzymie skarby sztuki, jakie przez zaborców z Polski zostały wywiezione. Przez dziesiątki lat rabowano Polskę z najpiękniejszych obrazów i zabytków historycznych. Zdobycze te zdobią muzea w Berlinie, Petersburgu i Wiedniu. Do tej chwili jeszcze nie poczyniono starań, aby na powrót w Narodowem Muzeum Polski zgromadzić te bezcenne skarby. Czas najwyższy, aby ratować co się da zanim zabytki te zaginą w pożodze obecnej rewolucyi światowej.



Rewindykacya zabytków: Włosi wywożą obrazy z wiedeńskich galeryi cesarskich. (Fot. Seebald)

Nowoczesna agitacya.

Przewroty, jakie obecnie w świecie się dokonują, wprowadzają coraz nowe formy przejawów życiowych. Zarówno życie polityczne jak i społeczne przejmuje bardzo wiele z tych nastrojów, w jakich społeczeństwa teraz żyją i stosuje je w swych dążeniach i pracach.

Doskonałym przykładem takiego nowoczesnego pojmowania życia politycznego jest forma agitacyi, jaką przy obecnych ruchach wyborczych się stosuje. Podana przez nas illustracya przedstawia agitacyę wyborczą, jaką zastosowano w Wiedniu przy ostatnich wyborach do konstytuanty niemieckiej. Jako agitatorzy wystąpili tutaj najbardziej przez wojnę poszkodowani, mianowicie inwalidzi wojenni.

Stawiając własne postulaty popierali je demonstracyjnemi pochodami, w których widokiem swych ułomności zdobywali uznanie dla swych życzeń.

Formacye polskie we Włoszech.

Myśl rekompensaty za gwałt dokonany na żywym organiźmie Polski rozeszła się na łamach wojny światowej głośnem echem. Każde państwo aliansu starało się choćby cegiełkę dorzucić do odbudowy ziemi, która swoją siłą i hartem niestarganej długą niewolą woli umiało przez przeszło sto lat utrzymać w sobie ducha życia i niezgaszonej miłości Ojczyzny. Nas zawsze rozumiano, ale nie było dobrych chęci by podać dłoń do powstania z gruzów i ruin pieczołotliwie utrzymywanych przez państwa zaborcze. Rozumiano nas jednak dobrze, a przedewszystkiem ci, którzy również musieli przejść ciężką drogę kataklizmów dziejowych nim osiągnęli dzisiejszą zwartość i siłę.

Co znaczy walka o wolność pamiętają Włosi, którzy przecie przeszli przez możny trud, nim rzucili pierwsze podstawy pod gmach obecnego swojego stanowiska, po długiej pracy nad skupieniem zróżniczkowanych sił narodowych. Więc nie dziw, że dziś ochotnie spieszą z pomocą wysiłkom polskich żołnierzy skierowanym ku stworzeniu zwartej organizacyi wojskowej poza krajem. Praca tu wre i do szczęśliwych wyników dochodzi.

We Włoszech założono dwa wielkie obozy koncentracyjne dla jeńców polskich przebywających w niewoli włoskiej. Jeden w St. Maria pod Neapolem, drugi w La Mandria di Chivasso pod Turynem. Żołnierze po odpowiedniem przygotowaniu wysyłani są z tych obozów do Francyi. Dotąd odeszło z Włoch do armii Hallera 30 000 żołnierzy polskich. Pozostałych 30 000 jeńców przygotowuje się do wyjazdu, o ile tylko znajdzie się odpowiednie pokrycie finansowe kosztów wyekwipowania. Organizatorem wojska polskiego we Włoszech jest major wojsk francuskich, ks. Radziwiłł, podległy rozkazom Hallera. Komendantem obozu w St. Maria jest kapitan Petelenz, a w La Mandria di Chivasso kap. Golachowski. W obozie St. Maria znajdują się nadto kapitanowie Pistel i Arciszewski, dr. Gąsiorowski, podpor. Sochocki i aspirant Dziurzyński.



Nowoczesna agitacya: Inwalidzi wojenni agitują na ulicach Wiednia (Fot. Seebald)

Z kroniki żałobnej.

W sobotę zakończyła życie w Krakowie zasłużona artystka, ś. p. Anna z Kałużyńskich Fregowa.



Z kroniki żałobnej: S. p. Anna Kałużyńska.

Zmarła ma piękną kartę w dziejach sceny krakowskiej. Przybywszy około r. 1885 z teatru poznańskiego objęła za dyrekcyi Gliksona role amantek i bohaterek dramatycznych. Obdarzona szeroką skalą dźwięcznego głosu, pełna temperamentu i szczerego zapału dla sztuki wrodzony talent podnosiła sumienną pracą. Stąd też stała się wkrótce najwybitniejszą w danej chwili po Hoffmannowej ozdobą naszej sceny. Popisowe jej role były w „Esterze", „Lenie", Thermidorze", „Dwóch sierotach", w komedyach Bałuckiego itd. Była jedną z najlepszych Aniel w „Ślubach panieńskich" i bardzo dobrą Balladyną. Publiczność przyjmowała ją serdecznie,



Formacye polskie we Włoszech: Oficerowie polscy kap. Pistel, Arciszewski, Petelenz. podp. Sochocki, kap. dr Gąsiorowski i aspirant Dziurzyński z obozu St. Maria.

Nieletnie morderczynie.

Pięcioletnia wojna, a przedewszystkiem jej fatalne następstwa ekonomiczne zdeprawowały szerokie masy we wszystkich państwach, które w wojnę były wplątane. Odbiło się to na młodem pokoleniu.

Ofiarą zbrodni padła stróżka jednej z kamienic przy ul. Niemcewicza, Cześnikowa, osoba zamężna. Do grona licznych jej znajomych należały Adela i Malwina Souppanówne. Znając dobrze stosunki Cześnikowej wiedziały, iż posiada ona kilka tysięcy gotówki i to podsunęło im potworny plan zamordowania Cześnikowej, aby przywłaszczyć sobie jej pieniądze. Udały się więc pewnego dnia do mieszkania Cześnikowej i w chwili gdy młodsza, Malwina, czytała gospodyni, leżącej w łóżku, jakiś list miłosny, Adela celnym strzałem z rewolweru zamordowała nieszczęsną ofiarę, poczem obie przeszukały mieszkanie i zabrały stamtąd około 2.000 koron. Zbrodnia wyszła wnet na jaw, w pierwszej chwili jednak podejrzenie o jej spełnienie skierowano przeciw jeńcowi włoskiemu, który mieszkał „kątem“ u Cześnikowej, a który wskutek dziwnego zbiegu okoliczności właśnie w tym czasie wyjechał ze Lwowa, czem jeszcze bardziej siebie obciążył. W toku dochodzeń jednak, które energicznie prowadził starszy komisarz policyi lwowskiej, p. Łukomski, silne poszlaki przemawiają przeciw wspomnianym dwom pannom. Zostały one aresztowane, poczem wobec wyników rewizyi przyznały się do zbrodni.



Nieletnie morderczynie: Adela Souppanówna.

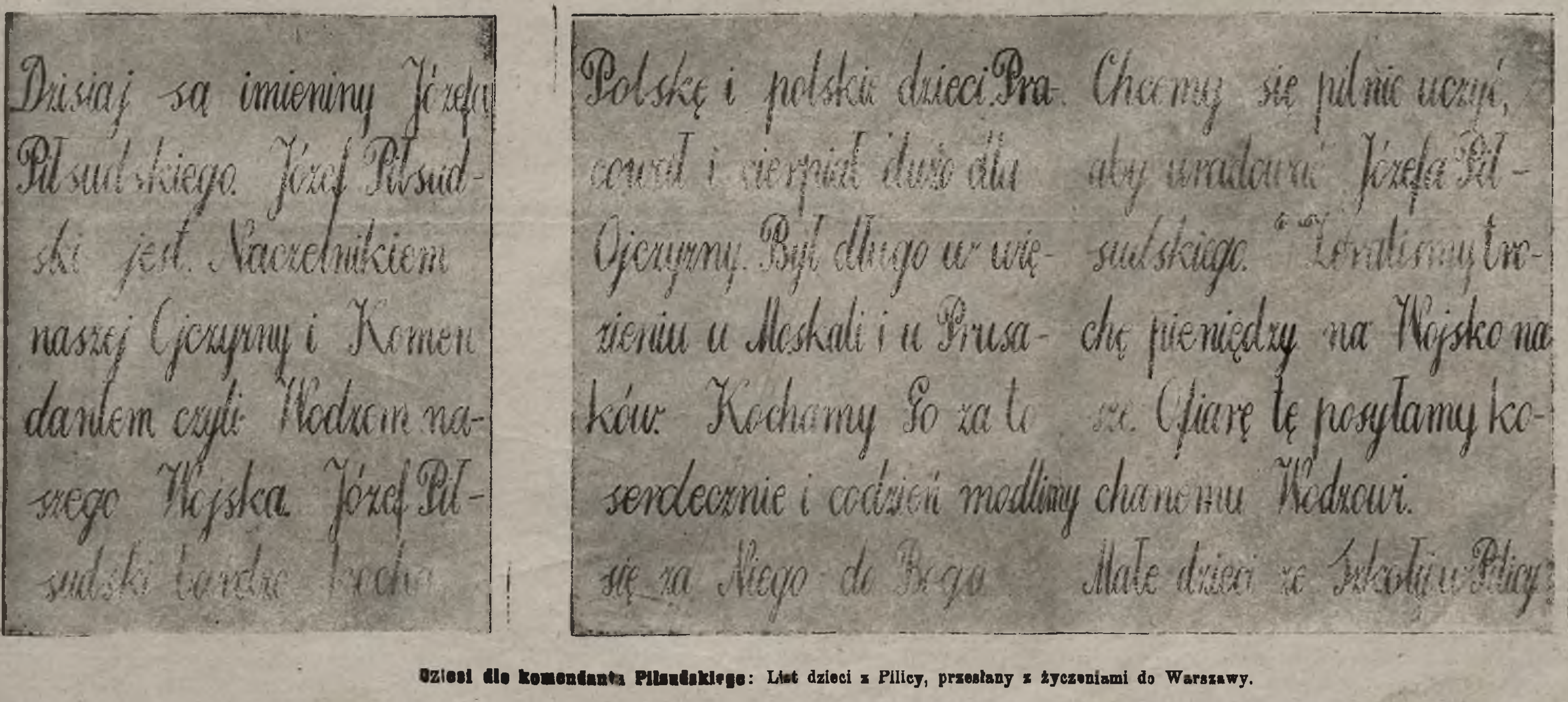
do czego przyczyniały się osobiste jej przymioty, jednając jej ogólną sympatyę. Wyszedłszy za mąż ustąpiła ze sceny koło roku 1895.

Dzieci dla komendanta Piłsudskiego.

Wśród rozprószonych, jak stado ptactwa, klębiących się w ciągłym braku syntetycznej pracy myśli budującej się Ojczyzny zjawia się dość często — przypominają się tu spory emigracyjne po 31 roku mające jednak uzadnienie w wysileniu wszystkich pragnień, zdruzgotanych poniesioną klęską — zjawiają się rysy i zgrzyty, jak po szkle, niegodne dzisiejszej chwili powstawania Ojczyzny. Takimi są ciągłe wahania opinii o komendancie Piłsudskim. Często, niestety bardzo często nawet kieruje się tu dyrektywami pewnych, mało uzasadnionych celów partyjnych, nie zważając na istotną wartość naczelnika. I naprawdę, z prawdziwą radością czyta się list dzieci ze szkoły w Pilicy, które lepiej umieją ocenić ludzi tak kochających Ojczyznę, jak Piłsudski, stając wyżej, niż rozpolitykowane starsze społeczenstwo. One nie znają opozycyi tam, gdzie idzie o dobro ziemi, z takim trudem zdobytej, ale stają z dziecięcą prostotą w szeregu zupełnej neutralności, kierując się przedewszystkiem sercem, myslą inaczej. Niech dzisiejsi „starsi“ przeczytają uważnie ten list i zrozumieją, że tam, gdzie idzie o Ojczyznę, partya jest rzeczą minimalnego znaczenia, że trzeba raz wreszcie obudzić się i wziąść do pracy trzeźwej, a nie irracyonalnej polityki stronnictw.



Nieletnie morderczynie: Malwina Souppanówna.


Dzisiaj są imieniny Józefa
Piłsudskiego. Józef Piłsud-
ski jest Naczelnikiem
naszej Ojczyzny i Komen
dantem czyli Wodzem na-
szego Wojska. Józef Pił-
sudski bardzo kocha
Polskę i polskie dzieci. Pra-
cował i cierpiał dużo dla
Ojczyzny. Był długo w wię-
zieniu u Moskali i u Prusa-
ków. Kochamy Go za to
serdecznie i codzień modlimy
się za Niego do Boga.
Chcemy się pilnie uczyć,
aby uradować Józefa Pił-
sudskiego. Zebraliśmy tro-
chę pieniędzy na Wojsko na-
sze. Ofiarę tę posyłamy ko-
chanemu Wodzowi.
Małe dzieci ze Szkoły w Pilicy.

Dzieci dla komendanta Piłsudskiego: List dzieci z Pilicy, przesłany z życzeniami do Warszawy.

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

11

A może też... może... — złośliwe słowo Ginetty nie pozostały bez skutku — boi się Grantouvra, który ofiarowuje krociowe podarki.

Klaudyusz czuł, że piekło budzi się w nim. Upłynęło jeszcze dziesięć minut.

A jeśli jakaś niespodziana przeszkoda... A może nieszczęśliwy wypadek...

Zatrwożył się. Rozgoryczenie ustępowało miejsca nerwowemu lękowi.

Wreszcie o w pół do szóstej zadźwięczał w przedpokoju dzwonek.

Klaudyuszowi serce zakołatało w piersi, chociaż usiłował zachować pozorny spokój.

Pobiegł do drzwi, otworzył...

Tak! to ona! to Marion!...

— Dobry wieczór, najdroższa!

Ciszej nieco odparła:

— Dobry wieczór!

Klaudyusz pochwycił ją w swoje silne ramiona i uniósł z nad ziemi jak małą dziecinę i położył ją ostrożnie na sofie, przykrytej wzorzystym kobiercem.

Marion płakała i śmiała się jednocześnie, szepcząc przytem błagalnie:

— Nie! nie!... błagam cię! nie!...

Zdjął jej z głowy kapelusz... Bujne włosy, które Klaudyusz wichrzył pocałunkami, nadawały jej w tej chwili wygląd młodej dziewczyny.

Ogarnął ich oboje płomień, pożerający wszystkie skrupuły, wahania, wszystkie względy towarzyskie, społeczne, rodzinne.

Zapomnieli o całym świecie...

Kiedy ocknęli się ze swego oszołomienia, był to już wieczór zupełny, godzina ósma.

— Szaleni jesteśmy — rzekła Marion — co ty opowiesz w domu?

Lekceważącym ruchem głowy dał jej do zrozumienia, że to wszystko jedno, że byleiaka bajeczka wystarczy.

W istocie jednak nie był wcale tak spokojnym, jakim się usiłował wydawać i wolałby może, aby to wszystko nie miało miejsca.

Marion natomiast stała się pieszczotliwą jak kotka i dziwnie ponętną.

Szybko poprawiła wszystkie niedokładności swej tualety, obejrzała uważnie Klaudyusza od głowy do stóp, badając, czy na jego ubraniu nie pozostał jaki włos lub czy nie zmiął się zanadto krawat.

— Bo Ginetta ma dobre oko, wiesz przecie.

Czy on wiedział?... Pamiętając o przenikliwości swej żony zapytał jeszcze:

— Czy twoje perfumy są trwałe?

Wybuchnęła śmiechem.

Ależ to poprostu kolońska woda z zapachem kwiatowym! W szpitalu śmiało możecie mieć taką wodę. I chociaż Ginetta ma nos...

— I to jeszcze jaki nos!

Zaśmiali się oboje. Klaudyusz dodał, że przyjdzie tutaj jeszcze dzisiaj stara służąca, aby wszystko uporządkować.

— Czyś pewny jej dyskrecyi?

— W ogień skoczyłaby za mną!

— Mogłaby wskoczyć wprzód wypaplawszy wszystko. Musimy być bardzo ostrożni. Nie zapalaj tej lampki. Poco? Ja wyjdę pierwsza. Kiedy zobaczymy się znowu?

— Chyba jutro, bo pojutrze nie mogę.

— A jutrzejszy dzień znowu ja mam zajęty.

— Zatem poczekajmy do czwartku. Zgadzasz się? W czwartek tutaj, o tej godzinie?

— Dobrze. W razie jakiejś przeszkody w sobotę...

Ucałowała go, poczem ubrana już do wyjścia dorzuciła żywo:

— Musimy się którego dnia spotkać w obecności Ginetty i dzieci. Trzeba się przyzwyczajać do tego, aby zachować swobodę wobec ludzi. To bardzo proste. Należy sobie wtedy powiedzieć, że nic się nie stało i że jesteśmy parą starych dobrych przyjaciół. Ja czuję, że z łatwością potrafię sobie to wyobrazić.

Odpowiedział:

— I ja także — ale bez przekonania.

Marion zniknęła. Doktor pozostał sam w tem mieszkanku nagle opustoszałem. Niemiły moment. Klaudyusz, uczciwy człowiek, lojalny przyjaciel, odczuwał niesmak. Zdradzał przyjaciela, zapomniał o obowiązkach zawodowych, małżeńskich, patryotycznych.

Wydawał się sam sobie nizkim egoistą. Nadużył porywu zmysłu, wyzyskał moralną chwiejność słabszej od siebie istoty.

— Jestem brutalem!...

Przypatrzył się temu brutalowi w lustrze. Miał oczy zmęczone i niewyraźną minę. Nie podobał się sobie bynajmniej. Przyszedł mu na myśl wiersz Teodora Arbanela:

„Lecz gorzkim chleb grzechu jest
O! przyjaciele!..."

ROZDZIAŁ IV.

Podejrzenie i pewność.

Pierwsze słońce majowe zalewało złotemi falami stylowo urządzoną jadalnię Etiennantów.

Było to zaręczynowe śniadanie Janki i Franciszka.

Młodzieniec miał nazajutrz odjechać do swego pułku do Chambery. Na cześć tego pożegnania Ginetta i Klaudyusz zaprosili Marion, starszą panią Darmelle, panią Lebien i Fabiusza Grantouvra.

To poufałe zebranie odznaczało się różnorodnością nastrojów. Starsze panie były chłodne i wymuszone, narzeczeni melancholijni, kochankowie niespokojni, Ginetta podejrzliwa.

Marion siedząc naprzeciwko Klaudyusza, unikała jego wzroku, albo też spotkawszy jego spojrzenie, uśmiechała się obojętnie.

Pani Lebien nie starała się zbytnio ukrywać swej irytacyi. Stanowczo była przeciwną tym zaręczynom. Pani Darmelle zaś uważała je za waryackie i nie na czasie ze względu na to, że Ksawery zaginął.

Ginetta chociaż aprobowała to postanowienie młodych, zachowywała się jednak nieco zagadkowo.

Klaudyusz, jak to często zdarza się u ludzi naiwnych, skoro posiadł kobietę jął rozwijać w sobie posępną, dręczącą zazdrość. Od kilku dni nie mógł przebaczyć Grantouvrowi ani jego niezwykłej szczodrobliwości, ani też delikatnych, troskliwych starań, jakiemi stary artysta otaczał Marion. Zaczynał mu zazdrościć jego sławy, dowcipu, ujmującego obejścia. I choć starał się ukryć swoją niechęć, nie zupełnie mu się to udawało.

Ginetta obserwowała dyskretnie lecz bacznie swego męża i Marion, albowiem nie uszło jej uwagi, że ich zachowanie uległo jakiejś zmianie.

Przypuszczała ona, że Marion chcąc koniecznie doprowadzić do skutku zaręczyny syna, kokietowała Klaudyusza i ten dał się „wziąć" na tę interesowną kokieteryę. Prawdy nie podejrzewała jeszcze. Kiedy jednak wstawano od stołu i doktor podawał ramię pani Lebien, Ginetta pochwyciła nagle spojrzenie, które zamienili pomiędzy sobą kochankowie, spojrzenie dyszące burzą pożądań.

Doktorowa zdumiała się.

— Czyżby to było możliwe?!

Postanowiła od tej chwili śledzić męża i przyjaciółkę.

Tegosamego wieczoru po obiedzie Ginetta korzystając ze swego sam na sam z mężem, rzekła niedbałym tonem:

— Wiesz, nie omyliłam się wówczas, kiedym wyraziła przypuszczenie, że nasza niewinna świętoszka, nasza wesoła wdówka, ma stosunek miłosny.

— Jakto?

— Marion jest kochanką Norberta Palaiseau. Wiem o tem od Adeli Hottelet, której Palaiseau poczynił niedyskretne zwierzenia.

— Dajże spokój!...

— Niema wątpliwości, że to prawda. Ta waryatka podarowała Norbertowi swoją fotografię z kompromitującą dedykacyą. Ale co tobie jest? Tyś tak pobladł...

— Nic... nic... to światło... i ból głowy.

Etiennant blady ze zdumienia i wściekłego gniewu, rzucił się w tył z fotelem i jął oddychać szybko i ciężko.

Brzydka, ciekawością rozpromieniona twarz Ginetty nabrała nagle wyrazu zimnego okrucieństwa.

Zazdrosna kobieta miała już pewność: Klaudyusz kocha Marion.

On tymczasem odzyskał przytomność umysłu i panowanie nad sobą. Wstał, podszedł do kredensu, nalał sobie kieliszek koniaku i zmuszając się do uśmiechu, rzekł:

— Wiesz, chyba mnie poraziło dzisiaj to pierwsze majowe słońce i dlatego mnie głowa rozbolała. Ale coś to opowiadała o Marion i Norbercie Palaiseau?

Sucho odrzuciła:

— Nic... Nie pamiętam już.

Potem zaśmiała się szydersko.

Klaudyusz popatrzył na żonę z dobrze udanem zdziwieniem. Ale ta komedya zapóźno zagrana chybiła celu.

— Ależ przypomnij sobie To było wcale zajmujące. Więc pani Darmelle...

— Ach! głupstwo... niema o czem mówić!... Chcesz może jeszcze trochę koniaku?

Nie śmiał nalegać. Małżonkowie patrzyli na siebie z uśmiechem, niby dwoje obłudnych nieprzyjaciół.

Klaudyusz sam przeraził się tem wrażeniem, jakie wywarła na niego wiadomość o zdradzie kochanki. Powtarzał sobie, że bezwątpienia jest to jakiś ohydny wymysł Ginetty. Niemniej paliło się w nim ogniem niecierpliwości pragnienie, aby co prędzej zapytać samą Marion.

Nazajutrz spóźniła się ona o półgodziny na schadzkę, ponieważ przeszkodził jej ostatni sprawunek dla syna.

Klaudyusz przywitał ją dziwnie zdenerwowany i zmieniony. Nie przyjął jej jak zwykle okrzykiem radości ani gorącym pocałunkiem. Opowiedział jej natomiast słowo w słowo, to co zaszło pomiędzy nim a Ginettą: oskarżenie Marion o stosunek miłosny z Norbertem Palaiseau, historyę fotografii i o swojem własnem zamroczeniu.

Rzecz przedstawiała się poważnie. Zazdrosna żona widocznie „zwąchała pismo nosem" i należało zręcznie odwrócić jej podejrzenia. Doktor nie dodał: i moje, ale jego głos drżący, urywany wskazywał aż nadto, że nietylko o zazdrość Ginetty mu chodzi.

— Mam nadzieję, żeś nie uwierzył ani w jedno słowo tej śmiesznie nieprawdopodobnej historyi? — rzekła Marion.

— Więc to jest nieprawda? Plotka od początku do końca?

Marion wybuchnęła śmiechem, co do szczerości którego niepodobna było się omylić.

— Norbert de Palaiseau! Mały Harburgen! Ależ mnie na wymioty zbiera ilekroć razy go zobaczę! To jest wstrętna kreatura, tchórz, bazyliszek!... Ach! mój najdroższy, za jakże naiwnego człowieka uważa cię twoja żona, jeżeli ci opowiada takie nonsensowe historye. Śmiej się z tego, Klaudyuszu. Jestem twoja, tylko twoja! Ty wystarczasz mi do szczęścia i do nieszczęścia. Tyś jest moją dumą i mojem szaleństwem! Kocham cię!

Otoczyła jego szyję swemi krągłemi ramionami i całowała go w czoło, w oczy, w usta. Jej błyszczące błękitne oczy promieniowały rozkoszą przebaczenia, zmieszanego z lekką irytacyą i odrobiną drwiny. Nigdy nie była tak pieszczotliwą, tak ponętną i piękną.

— Nowicyuszem jesteś w sprawach miłosnych, to jasne. Przez twoje wzruszenie zdradziłeś zazdrośnicy, że mnie kochasz. To była pułapka, w którą wpadłeś niebacznie. Co teraz będzie? Chyba przestaniemy się widywać?

— Nigdy w życiu! Raczej porzucę dom i żonę, ażeby oddać się zupełnie tobie!

— Co też ty powiadasz!... A Janka, a Franciszek, a ludzie?...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Tego wieczoru umówili się, że podwoją ostrożność. Marion, która zaniedbała nieco Ginettę, miała znowu zbliżyć się do niej. Była to obłuda przykra, ale nieunikniona.

Klaudyusz będzie okazywał więcej czułości.

Kochankowie ograniczą ilość swoich schadzek. Będą się spotykali tylko trzy lub najwyżej cztery razy w miesiącu.

Powziąwszy te postanowienia ucałowali się i długą chwilę trwali tak złączeni ustami. Tak trudno było im rozstać się.

— Dowidzenia... we czwartek o ósmej...

— Nie będę miał tyle sił, najdroższa.

— Musisz mieć. Spotkamy się może u ciebie.

— To gorzej niż wcale nie widzieć się. A gdybyś tak zachorowała?... Leczyłbym cię.

— Ja nie zachoruję.

(Ciąg dalszy nastąpi).




Sypialnia królewska w zamku monachijskim. **Z raju bolszewickiego w Niemczech:** Pracownia króla bawarskiego w zamku monachijskim.

Podhalanie na froncie.

O ile w wielu wypadkach lud nasz podsycany nierozumną i szkodliwą agitacyą stronnictw nie zrozumiał obecnej sytuacyi, o tyle często mamy dowody, że myśli on zdrowo i Polskę kocha całą duszą nie wdając się w duskusyę polityczną.

Swiadczy o tem stanowisko naszych górali. Czem jest dla nas Spisz i Orawa wiedzą dobrze, a czego potrzebuje powstająca Ojczyzna wskazują czynem. Dość wspomnieć o brygadyerze Galicy, który tyle ludu zaciągnął pod broń, każąc im myśleć po polsku, a nie w myśl pewnych partyjnych przesłanek, okazując, że tu trzeba inaczej czuć, jak ci w Sejmie. Pomoc formacyi podhalańskich, idących do boju z brawurą obrońców króla Jana Kazimierza, a wskazujących dzisiejszym racławickim Bartoszom inny punkt działania, aniżeli ten, jaki wytyczyli im ich „duchowi" przewódcy wskazuje, że tam polska myśl żyje i żyć będzie. Tam nie zna się tej lub innej drogi, tam wie się tylko, że Ojczyzna woła, wbrew często bolesnym aksyomatom naszych polityków.

Załączona reprodukcya przedstawia dzielnych Podhalańczyków, walczących na froncie lwowskim, z których już bardzo wielu padło śmiercią bohaterską a inni trwają dzielnie na niebezpiecznych stanowiskach.

Dyktator żywnościowy.

Z chwilą kiedy na frontach bojowych umilkły armaty, ze wszystkich krajów dotkniętych straszną pożogą wojenną rozległ się w kierunku Ameryki jeden zgodny apel, aby jak najprędzej dostarczyła do Europy żywność, gdyż wygłodzone kraje stają się przez głód środowiskami nędzy, a co za tem idzie wzrastającej z dnia na dzień anarchii. Koalicya zdawała sobie dokładnie sprawę z tego, że pierwszą jej czynnością po zaprzestaniu działań wojennych musi być zaopatrzenie w żywność wygłodzonej Europy, którą blokada i przejścia wojenne skazały na powolne zamieranie w nędzy. To też z Ameryką na czele został zorganizowany osobny departament, którego zadaniem jest dostarczanie na polecenie konferencyi obradującej w Paryżu żywności tym państwom, które zawarły już umowy wstępne z koalicyą, a tem samem zwolnione od wojennej blokady mogą być przez Amerykę prowiantowane. Do takich państw należy obecnie i Polska, która jedynie dzięki skutecznej pomocy Ameryki potrafiła przetrwać ciężki tegoroczny przednówek i będzie mogła zasiać swe pola, zabezpieczając się przed wzrastającą nędzą.

Na czele tego urzędu żywnościowego stoi dyktator żywnościowy Europy, Mr. C. Hoover. W rękach jego spoczywa cały nadzór nad przywozem żywności do Europy. Jego władzy podlegają wszystkie okupowane przez koalicyę środki przewozowe mocarstw centralnych i na jego polecenie otrzymują kraje przyznane im racye żywności. Jako upełnomocniony minister posiada on nieograniczoną władzę i olbrzymi sztab urzędników, którymi obsadził wszystkie najważniejsze porty i linie kolejowe w Europie. W ten sposób pod jego nadzorem Ameryka zapanowała niepodzielnie prawie nad aprowizacyą Europy.

Polska dzięki pomocy Ameryki otrzymuje przez Gdańsk i częściowo przez Szwajcaryę zapasy tłuszczów, mąki i ubrań, które stały się podstawą pomocy dla miast i większych środowisk robotniczych.



Minister gen. Leśniewski w Krakowie: Defilada przed ministrem w czasie jego pobytu w Cieszynie.




Salon w zamku królewskim monachijskim. **Z raju bolszewickiego w Niemczech:** Sala jadalna w zamku królewskim w Monachium.

Kronika tygodniowa.

Powiedział swojego czasu pewien mądry pan, nazywał się podobno Montecucculi, że chcąc prowadzić wojnę, trzeba mieć do tego trzy rzeczy, to jest pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Na to zgodził się potem i Napoleon, a w ostatnich czasach i Austrya, która jedynie z tego tylko powodu ogłosiła ośm pożyczek wojennych. Miała zamiar doprowadzić do tuzina, a jeśli się tak nie stało to już nie jej wina, gdyż chęci miała najlepsze, ale fatalnego zbiegu okoliczności. Wartość pieniędzy zna najlepiej ten, kto ich nie ma.

Zupełnie tego samego zdania co pan Montecucculi i Napoleon, choć nie ze względów strategicznych, jest i moja najdroższa (choć odstąpiłbym ją nawet niżej własnych kosztów!) Weronika. Powiada stale, że, chcąc urządzić sobie bodaj jakietakie święta, trzeba także trzech rzeczy, to jest pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Ale, skąd je wziąć, o to ją głowa nie boli, bo wie, że mąż, jako głowa domu, ma obowiązek starać się o to, aby żona miała co wydawać.

— Dawaj, bo potrzebuję! — to jej zwykła śpiewka.

Na tem kończy się nasza rozmowa, w konsekwencyi przecież nie pozostaje nic innego, jak myśleć dotąd nad postaraniem się o marną monetę, aż się ją w jakiś sposób wydębi. A to nie przychodzi tak łatwo. Mamy wprawdzie obecnie w Krakowie prawdziwą giełdę, która codziennie ogłasza w naszych pismach swe „cedniy", ale też zwykły śmiertelnik ma tylko tyle z niej pożytku, że je czyta, nic tam bowiem nie dostanie. Dobrze przynajmniej, że istnieje jeszcze „czarna giełda" obok kościoła świętego Wojciecha. Tam się prędzej może człowiek poratować, choć i tutaj, dzięki wojnie, niema żadnego ożywienia (usposobienie mdłe) i co chwila słyszy się wyraz „moratoryum".

Ostatni tydzień przed świętami, tak zwany wielki tydzień, jest więc w samej rzeczy wielkim, gdyż każdy ojciec rodziny ma wielkie kłopoty i śpiewa naprawdę gorzkie żale, najpierw, że się wogóle urodził, potem, że się ożenił, a wreszcie, że mu brak pieniędzy. Ponieważ zaś takich, którzy lekkomyślnie popełnili te trzy głupstwa nie do darowania, jest stosunkowo bardzo wielu, nic też w tem dziwnego, że nastrój w ostatnim tygodniu przed świętami jest poprostu pod psem i to pod zdechłym!... I nie dziwię się bynajmniej, że w tym okresie tak się zawsze mnożą włamania do różnych kas, gdyż jestem pewny, że przynajmniej w połowie wypadków należy szukać sprawców między tymi nieszczęśliwcami, którym żony kazały się starać o pieniądze na święta. Podobno po ostatniem włamaniu do domu bankowego Raczyńskiego w Rynku głównym (jasny dowód, że był to jakiś „lepszy" złodziej, skoro operował w śródmieściu...), znaleziono uroniony przez któregoś ze sprawców spis, sporządzony niewieścią ręką, co ma kupić. Wyobrażam sobie, w jakim on teraz jest kłopocie, mając pieniądze, a nie wiedząc, co ma nabyć.

W zupełnie odmiennym stanie (ale proszę tego przypadkiem nie brać zbyt dosłownie!...) jest kronikarz, który wiedziałby, co kupić, ale nie wie, za co.

Przypuśćmy jednak, że okoliczności tak się szczęśliwie złożyły, że w jakiś dziwny sposób jest się, choćby nawet drogą spadku po wujaszku z Ameryki, posiadaczem pewnej kwoty, mogącej wystarczyć nawet we wojennym czasie na urządzenie sobie święconego, widzi się człek dopiero zupełnie bezradnym, bo, choć miałby kupić za co, dopiero teraz nie wie, gdzie i co!

Kłopot więc nie mieć pieniędzy, ale dziś również nie należy do przyjemności mieć je.

Wiadomo zaś zapewne każdemu z doświadczenia, że święta Wielkiejnocy połączone są nierozdzielnie z trzema rodzajami artykułów spożywczych, należących do działu *a)* jaj i świńskiego ciała pod różnemi postaciami (nie wykluczając naturalnie i innych mięsiw), *b)* słodyczy (ziemskich nie niebieskich!) i *c)* wszelakiej trunkowości, mającej stanowić *anitdotum* na różne przypadłości żołądkowe, jakich się przeciętny śmiertelnik na pociechę lekarzy i aptekarzy w tym czasie nabawia.

Jak zaś łatwo dziś, po skończeniu się wojny i w przededniu zawarcia pokoju, o to wszystko, wie chyba każdy.

Jaj, niezbędnie potrzebnych do składania sobie życzeń, jak już w poprzedniej kronice nadmieniłem, zupełny brak, spowodowany opieszałością kur, zaniedbujących się w wykonywaniu swych obowiązków. Jajo to dziś taki rarytas, że na coś podobnego może sobie pozwolić chyba jakiś paskarz, zwykły zaś śmiertelnik, w szczególności zaś literat lub dziennikarz, może tylko śnić o niem, lub wspominać o tem, jak smakowało przed wojną, gdy było i większe i kosztowało zaledwie dwa centy.

Z jaj na radzie familijnej, jaka się odbyła w poniedziałek wielkiego tygodnia, zrezygnowaliśmy jednogłośnie, chowając sobie tę przyjemność na rok przyszły, o ile się naturalnie tymczasem poprawią stosunki, co jest bardzo wątpliwem, gdyż znowu wyłoniły się jakieś nowe, a nieprzezwiciężone trudności, które zmuszają konferencyę pokojową do opóźnienia ostatecznego rozstrzygnięcia.

Jeszcze gorzej, niż z jajami, bez których można sobie na upartego życzyć i to nawet bardzo serdecznie, było z przetworami świńskiego ciała, czyli tak zwanymi wieprzowymi delikatesami, jak szynki, polędwice, ozory, rolady, kiszki, kiełbasy, wędzonki... (wyliczam je umyślnie, aby narobić P. T. Czytelnikom apetytu!) A świat bez nich nawet wyobrazić sobie nie można.

Na dwa tygodnie przed świętami zaczęły ceny ich iść gwałtownie w górę, na co nawet magistrat zaczął patrzeć przez palce, ostatecznie, gdy ludność zaczęła się upominać o swe prawa i przyjęła groźną postawę, zdecydowali się jaśnie wielmożni panowie masarze na oświadczenie, że przez dwa tygodnie nie podniosą ceny i będą sprzedawać swój towar wedle taryfy maksymalnej.

I ogarnęła radość serca ludzkie, ale tylko na bardzo krótki czas, bo oto spełniło się, co powiedział filozof: „Obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo!" Pokazało się, że wędlin brak, wprost się ich nie kupi, ale można się w nie zaopatrzyć paskarską drogą, to jest po cenach daleko wyższych, niż je stanowi taryfa maksymalna. Gdyby to Ameryka prócz smalcu i sloniny była nadesłała bodaj kilka wagonów szynek i kiełbas na święta! Ale, kto wie, czy i wtedy dostałoby się nam co, a zwłaszcza, że żydzi w ten sposób pojmują asymilacyę, że bardzo chętnie jedzą wieprzową szynkę, w nas wmawiając, że nam to może wyjść tylko na zdrowie, gdyż nie pochorujemy się z obżarstwa, a wiadomo każdemu, że chorować to i niezdrowo i dużo kosztuje. W rozdziale smalcu amerykańskiego, nic sobie nie robiąc z rytualnych przepisów, partycypowali też bardzo skwapliwie, ale tylko po to, by go zaraz puścić „w pasek".

Koniec końców, przyszła rada familijna do przekonania, że w roku bieżącym należy zerwać z tradycyami i obejść się bez szynki i kiełbasy, chyba, gdyby się znalazł jaki poczciwiec i coś podobnego nadesłał w upominku, jako wymowny i smaczny dowód uznania kronikarskiej pracy.

Niestety, do wielkiej soboty nie nadeszły nawet telegramy, zwiastujące tak pożądaną nowinę. mogącą podnieść serce i ducha i zarazem zaspokoić apetyt, trzeba się więc było obejść smakiem, co jednak bodaj to tyle wyszło na dobre, że po świętach nie trzeba myśleć o gorzkiej wodzie, której też brak. Bolszewickie Węgry powiedziały sobie. że same ją wypiją, nikomu nie dając ani kropelki. Niechaj im to wyjdzie na zdrowie, w bieżącym roku obejdziemy się najzupełniej bez ich łaskawej pomocy w tym kierunku.

Gdyby bodaj przeprowadzoną już była reforma agrarna w Sejmie polskim, na którą rozmaici ludzie czekają z taką niecierpliwością. Kto wie, czy i na kronikarza nie wypadłoby pewne *maximum* (niechby nawet było i *minimum!*) roli, naturalnie z zabudowaniami gospodarskiemi, lasem, stawem, młynem, gorzelnią, browarem i t. d. Wówczas miałoby się własne jaja i własne szynki i nie byłoby się zmuszonym kłaniać jaśnie panom masarzom, piekarzom i innym paskarzom, owszem, oni kłanialiby się nisko, aby pan dziedzic był im łaskaw co sprzedać.

Ale ja mam już takiego pecha, że choćbym nawet i został agrarnuszem *vulgo* wożignojkiem, to tymczasem zmienią się stosunki na gorsze i nie będzie można robić takich kokosowych interesów, jak się to jeszcze i dziś dzieje.

W dalszym ciągu przychodzi kolej na omówienie doczesnych słodyczy, bez których nikt dawniej świąt sobie nie wyobrażał, więc: tortów, mazurków, placków, jajeczników i bab różnego kalibru. Dziś i to wszystko należy już tylko do tradycyi ze względu na ogólny brak mąki, cukru, jaj, tłuszczów i rozmaitych przypraw. Między tegoczesnym a dawnym stołem święconym ta różnica, że dawniej widziało się na stole baby różnej wielkości, wyglądu i smaku, lukrowane i nielukrowane, dokoła stołu zaś żywe baby z rozradowanemi obliczami, patrzące z tryumfem na dzieło swych rączek i zdające się mówić:

— A co?... Czy to nie arcydzieło?... Proszę, niech kto inny coś podobnego potrafi!

A dziś?... Patrząc na ten stół, dawniej uginający się pod śladami dobrobytu, a dziś przypominający swym wyglądem te okolice, gdzie gospodarowali Niemcy w imię zachodniej cywilizacyi i kultury, poprostu aż się na płacz zbiera. Siedzą wprawdzie baby dokoła stołu, ale z jakiemiś skwaszonemi minami, na stole zaś niema bab, mazurków, jajeczników i t. d. Zwykły śmiertelnik, nie paskarz, chcący sobie pozwolić na podobny zbytek w obecnych czasach, bardzo łatwo, jako niepoprawny marnotrawca, mógłby się dostać pod kuratelę.

Na owej poniedziałkowej radzie familijnej zajmowaliśmy się i tą kwestyą, ale pokazało się, że „jedynie praktyczne" przepisy pieczenia ciast, zostawione nam w spadku przez ś. p. Ćwierciakiewiczową, są jednak w obecnych warunkach zupełnie niepraktyczne, zaliczyć je można bowiem do rzędu bajek „z tysiąca i jednej nocy".

Bo proszę tę księgę otworzyć w którymkolwiek miejscu, a spotka się zaraz na wstępie ze słowami: „Bierze się dwanaście jaj, pół funta świeżego masła, funt cukru..." Artykuły to, nie dla każdego dziś dostępne. Ba, choćby nawet i były, to brak znów drożdży, a bez nich do operacyi pieczenia zabierać się niepodobna.

W jednem z pism humorystycznych znalazłem przepis, dający się daleko łatwiej zrealizować. Brzmiał on jak następuje:

„Weź broszkę i kolczyki żony (o ile nie są jeszcze zastawione!), dodaj do tego swój złoty zegarek z łańcuszkiem (jeśli go masz!) i żonine futro i zanieś to do Kasy oszczędności. gdzie na parterze mieści się Zakład zastawniczy. Z otrzymanemi tam koronami idź do cukierni Maurizziego, Michalika lub Noworolskiego i tam sobie kup, co ci się podoba".

W rzeczywistości i ten przepis nie jest bardzo praktyczny, choćby się go bowiem chciało w pierwszej części wykonać zupełnie dosłownie i do lombardu zaniosło nawet i więcej, niż tam wymienione, druga część nie odpowie oczekiwaniom. za otrzymaną bowiem kwotę nie kupi nietylko pulchnej, lukrowanej baby, ale wogóle nic, chyba jakiego gniotka, przypominającego dawne „mosiężne placki", a ma'ącego to do siebie, że leży w żołądku bodaj dwa tygodnie i nie ruszy go nawet bolszewicki „Honyady Janos".

W konsekwencyi i ten punkt programu świątecznego spadł z porządku dziennego. Rada familijna powzięła jednomyślną uchwałę: „Słodycze schowajmy sobie na niebo" z moją poprawką: „albo na późniejsze czasy, o ile się tymczasem poprawią stosunki".

Zresztą bez słodyczy doczesnych można się łatwo obejść, a z powodu ich braku jeszcze nikt nie umarł. Cukru białego nie mamy, sacharynę zjedli Czesi, dla nas zostało trochę cukru żółtego czyli melassy. Do niedawna jeszcze raczyliśmy się nią, chcąc sobie bodaj w ten sposób żywot osłodzić. Ale od chwili, gdy ktoś ogłosił, że konie po użyciu melassy parszywieją, wielu obywateli odrzuciło to od niej. Nawet moja poczciwa Weronika, wiedząc o tem, a widząc mnie pijącego lurę z owym żółtym cukrem, zauważyła:

— Mój drogi!... Aby ci to przypadkiem nie zaszkodziło!...

— Zbytnia troskliwość — ja jej na to. — Co innego człowiek, co innego koń... Ten lubi i znosi to, tamten owo... Być może, że melassa źle oddziaływa na koński ustrój. ale to nie dowód jeszcze, aby mnie miała zaszkodzić! Zresztą spróbuj dać koniowi bułkę z kawiorem lub befsztyk z jajem, a przekonasz się, czy ruszy jedno lub drugie!... A my za tem tak przepadamy!...

I to ją widocznie przekonało. Odtąd nie mówi nic, choć spożywam ową melassę, ale widzę, że się jej to nie podoba. Bardzo się też ucieszyła, gdy się dowiedziała o owym szwindlu z żółtym cukrem na krakowskim dworcu (skradziono coś ze dwa wagony). Rzekła wiedziała wówczas do otoczenia:

— Dobrze się stało!... Nie będą truć biednych ludzi. Szkoda wielka, że nie skradziono wszystkiego!

Wytłumaczyłem jej, że nie ma racyi, gdyż ten kradziony cukier kupujemy potem w pasku po daleko wyższych cenach, niż maksymalne.

Dla kompletu i z trunkowością ogólna klapa i to na całej linii. Ale, wobec braku wieprzowiny, można się obejść i bez niej, nie narażając zdrowia bynajmniej na szwank. Wódki albo brak zupełny, albo niewiele warta, a bardzo droga (litr spirytusu stoośmdziesiąt koron, litr żydowskiej świątecznej śliwowicy dwieściesześćdziesiąt), piwo pod psem, o miodzie się nie słyszy, wyrób wina węgierskiego zupełnie ustał, nie wiadomo z jakich powodów, gdyż wodociągi miejskie funkcyonują jeszcze dość sprawnie (ale chemikalia bardzo podrożały! przyp. zecera). Wiele „winnic" zamknięto, a ich właściciele żyją z procentów od kapitałów, których deść natykali się od początku wojny.

Myśleliśmy, że się napijemy po święconem jajku po kieliszku prawdziwej „gdańskiej" za zdrowie wujaszka Wilsona, niestety, Lloyd Georgo był innego zdania i zaproponował nam w zamian „angielską gorzką". Pojechał wprawdzie Paderewski do Paryża, aby mu to wytłumaczyć, ale, czy mu się uda, to dopiero przyszłość pokaże, a Liga narodów rozstrzygnie.

Wielkanoc w Watykanie.

Wojna światowa zmieniła bardzo poważnie stosunek Stolicy Świętej do całego świata cywilizowanego. Więzień w Watykanie patrzy obecnie na wielkie przemiany społeczne i polityczne z tem wewnętrznem przekonaniem, iż i dla niego staną się one zaczątkiem nowej ery. Wpływ Ojca św. na wypadki dziejowe był kilkakrotnie bardzo poważny. Jego wezwania do pokoju znajdowały uznanie i poważny oddźwięk w całym świecie katolickim i gdyby nie zachłanna polityka niemiecka, byłoby się może udało przy pomocy Papieża i za jego pośrednictwem zapoczątkować pokój dla Europy.

W obecnej chwili kiedy i Włochy znajdują się w momencie dziejowego przesilenia sprawa stanowiska Ojca św. staje się znowu aktualną i kto wie, czy nie wypłynie ona jako jedno z poważnych zagadnień obecnego kongresu pokojowego, gdy pod obrady przyjdą sprawy Włoch i ich wewnętrznego ustroju. Jak pisma już kilkakrotnie podnosiły we Włoszech wre. Propaganda haseł radykalnych i tam dotarła. Prawdopodobnie będzie musiało nastąpić przekształcenie wewnętrznej struktury państwa włoskiego, a wtedy sprawa stosunku władzy Stolicy apostolskiej do państwa włoskiego będzie musiała znaleźć swoje rozwiązanie ostateczne.

Wielkanoc tego roku była w Watykanie obchodzona bardzo skromnie. Nie było owych wielkich obchodów, jakiemi co roku przed wojną odznaczały się uroczystości wielkanocne w Rzymie. W ramach domowego święta zamknięto uroczystości kościelne.

Podajemy illustracyę przedstawiającą wedle włoskiego zdjęcia nabożeństwo odprawiane w Wielką sobotę w bazylice św. Jana. Nowo wyświęceni kapłani śpiewają litanię do Ducha św. leżąc krzyżem na środku kościoła.

Minister gen. Leśniewski w Krakowie.

W tych dniach był w Krakowie minister dla spraw wojskowych gen. Leśniewski. Na powitanie przybyli na dworzec kolejowy generałowie: Symon, Stiller, Sobolewski i Fuglewicz, delegacye oficerskie, komisarz pow. Biesiadecki, dyr. policyi Krupiński, kompania honorowa szkoły podchorążych i muzyka 13 pułku piechoty. Minister odebrał raport od komendanta kompanii, a następnie przeszedł na plac przed dworcem, gdzie odbyła się defilada wojska. Z dworca pojechał do Krzysztoforów, celem złożenia wizyty gen. delegatowi drowi Gałeckiemu, wieczorem zaś był na obiadzie w kasynie wojskowym.

Po południu odbyła się na Błoniach wielka rewia wobec ministra, wśród ogromnego entuzyazmu wojska. Była to jedna z pięknych chwil, których [illegible] niewiele zapisuje w swej kronice. I nie dziw, przecie dotychczas Błonia były dogodnem miejscem do ćwiczeń wojsk państw nam wrogich, a dziś stanął na nich polski żołnierz, pod polską bronią.

Nazajutrz wyjechał minister do Cieszyna, gdzie go na dworcu powitali bryg. Latinik, prezydyum Rady narodowej z posłami ks. Londzinem, dr. Regerem i Bobkiem, prezydent rządu krajowego dr Michejda, prez. sądu dr. Bocheński, starosta Zurawski i przedstawiciele władz wojskowych. Po odebraniu raportu od bryg. Latinika i przeglądzie kompanii honorowej, powitał ministra imieniem Rady narodowej poseł Reger, imieniem kraju dr. Michejda. W południe gen. Leśniewski złożył wizytę Radzie Narodowej, rządowi krajowemu, a o 3 po południu odbył się obiad z udziałem członków Rady Narodowej, wojskowości misyi aliantów i reprezentantów władz miejscowych.

Z raju bolszewickiego w Niemczech.

Jaką kto bronią walczy od takiej sam ginie. Sprawdziło się to zbyt dotkliwie na Niemczech. Wzniecony ruch bolszewicki w Rosyi przerzucił iskry swego pożaru na Niemcy, druzgocąc imperyalistyczne zakusy Wilhelma, który nie mogąc zgnieść Rosyę z bronią w ręku, chwycił się bardzo ryzykownego środka: domowej rewolucyi. I jaki wynik? Niemcy w walce ze Spartakowcami chylą przed bogiem sowietów coraz korniejsze czoło.

Wypadki biegną szybko, tak, że nieraz trudno się zoryentować w jednej sytuacyi, gdy ta już na leży do przeszłości, grzebią wszystko za sobą w gruzy i ruiny, stwarzając nowy stan rzeczy.

Z Berlina rewolucya komunistyczna przerzuciła się na Monachium. Niezawisła partya socyalistyczna została strącona przez komunistów, którzy władzę ujęli w swe ręce. Wojsko stoi po stronie legalnego ministeryum Hoffmanna, a ludność zachowuje zupełną bierność i cierpliwie oczekuje dalszego rozwoju wypadków, które na razie mają ten skutek, że gospodarcze życie kraju pogarszają z dniem każdym.

Zamachu dokonali komuniści 10 kwietnia rano po uprzednich tłumnych naradach swojej partyi. Na czele Rady centralnej stanął mularz Klotz. W nocy komuniści opanowali kilkanaście stacyi policyjnych, rozbroili policyę i wzięli urzędników i komisarzy jako zakładników.

Charakterystycznem jest to, że przewroty te dzieją się jedynie w Monachium, które od reszty kraju jest zupełnie odosobnione, nie połączone ani ruchem pociągów kolejowych ani komunikacyą telegraficzną czy telefoniczną. Krążą pogłoski o zbliżaniu się wojsk dawnego rządu. Niemiecki minister obrony krajowej, Noske, oświadczył, że jeśli innego sposobu nie będzie, Monachium trzeba będzie zdobywać z bronią w ręku, podobnie jak Bremę. Dzienniki donoszą, że nad Monachium latały aeroplany i rzucały odezwy, w których wskazywano na odcięcie Monachium od reszty Bawaryi; do miasta nie będzie dostawiona żywność ani węgiel. Spodziewają się tam masowych demonstracyi przeciw „sowietom".

Rząd Hoffmanna zdecydował się stworzyć obronę krajową ze sfer robotniczych. Sejm bawarski zbierze się w najbliższych dniach w Bambergu. Ze wszystkich stron kraju nadchodzą do Sejmu prośby o wytrwanie na stanowisku, oraz słowa uznania i zaufania.



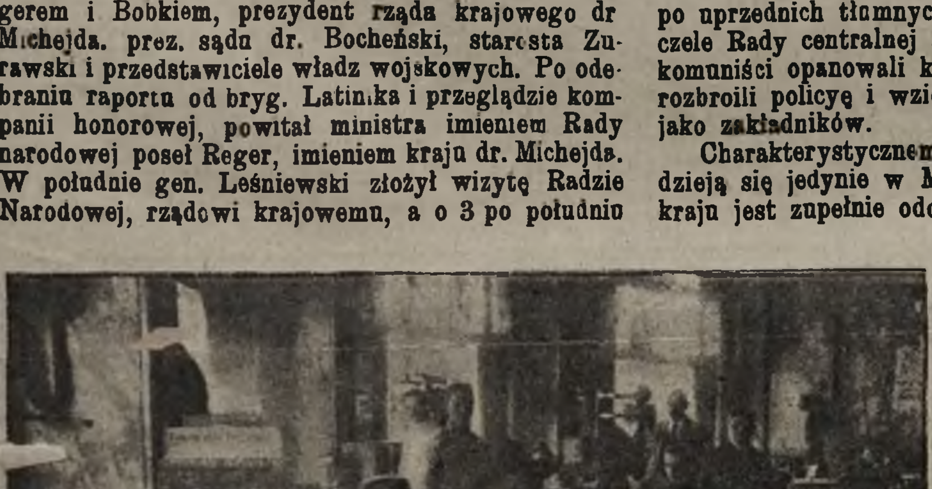
Podhalanie na froncie: Grupa górali z Podhala, walczących na froncie lwowskim pod dowództwem por. Maciejowskiego w pierwszym pułku strzelców podhalańskich (Fot. ppor. Miks.)

Z estrady.

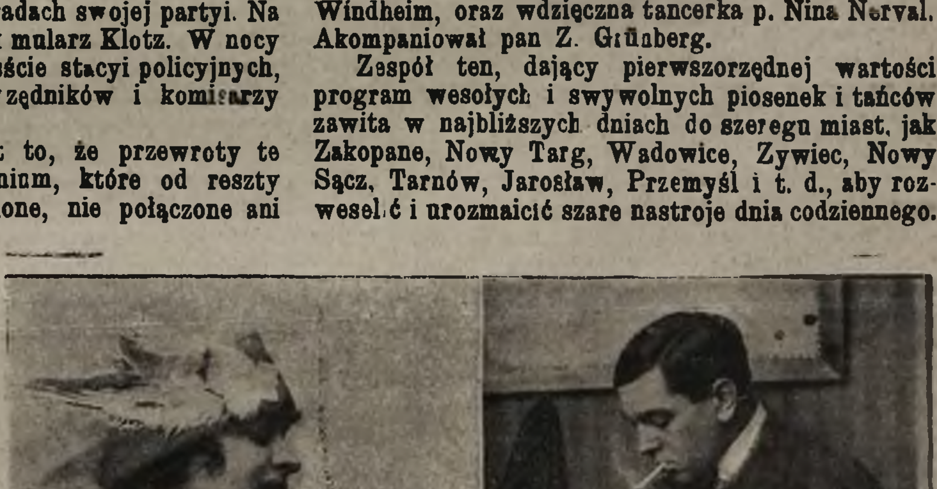
W ubiegłą niedzielę odbył się w Krakowie pierwszy występ zespołu artystycznego kabaretowego, który swemi produkcyami w najbliższych dniach urozmaici życie naszych prowincyonalnych miast.

Na estradzie, przy zapełnionej sali „Sokoła" wystąpili znani artyści pp. Anda Kitschmann i Wacław Kaliciński z bogatym repertuarem wesołych piosenek. Uzupełniali program z humorem p. Marek Windheim, oraz wdzięczna tancerka p. Nina Norval. Akompaniował pan Z. Grünberg.

Zespół ten, dający pierwszorzędnej wartości program wesołych i swywolnych piosenek i tańców zawita w najbliższych dniach do szeregu miast, jak Zakopane, Nowy Targ, Wadowice, Żywiec, Nowy Sącz, Tarnów, Jarosław, Przemyśl i t. d., aby rozweselić i urozmaicić szare nastroje dnia codziennego.



Przewrót w Niemczech: Biuro werbunkowe wojskowe w kawiarni berlińskiej.



Z estrady: Anda Kitschmann i Wacek Kaliciński.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożyła Teklusia, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwę dwu ludowych uroczystości, obchodzonych w tym czasie w Krakowie.

a — ka
d — by
o — no
m — ca
o — ca
l — wa
S — ra
L — da
O — sk
R — wa
T — ła
u — ta.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Jan Otyły, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Jankul I radny J. wyniósł pieszo nosek.

Bilety wizytowe.
Ułożył W. Borkowski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

MARC. U. TAAFE.

KS. U. ZYWIRA.

DYR. O. WE. SZLAKA.

S. PARZI.

STAN. A. IGOR.

Okienko.
Ułożył H. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a k k k
k k m
m o o o o
o o o
o r s u u

Znaczenie wyrazów: 1. Koń szlachetnej rasy. 2. Zwierzę ssące z rodziny małpiatek. 3. Drzewo egzotyczne.

Trójkąt magiczny.
Ułożył Pikuś z Tarnowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego męża stanu.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — — —
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Materya jedwabna. 3. Mieszkańcy południowego Egiptu. 4. Republika w Ameryce. 5. Herb polski. 6. Kraj w Afryce. 7. Rzeka pod Przemyślem. 8. Przyrząd sportowy. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył Jan Gewont, Zakopane.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: a, ć, e, e, i, ł, k, m, o, r, r, ś, z, z.

Kwadrat magiczny.
Ułożył Z. H., Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwę polskiego miasta.

■ — — — — —
— ■ — — — —
— — ■ — — —
— — — ■ — —
— — — — ■ —
— — — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Mityczny władca Polski. 2. Instrument muzyczny. 3. Indyjski duchowny. 4. Rodzaj ogrodzenia. 5. Miasto w Galicyi zachodniej. 6. Imię jednego z najgłośniejszych polityków obecnej doby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Album Legionów polskich.

Rozwiązanie zagadek z Nru 13

Okienko: Karol, Radek, lokaj. **Logogryf:** Konferencya pokojowa.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Zaleski, Lwów, S. Kozioł, Kraków. J. Jachimowicz, Rzeszów, W. Cieplik, Kraków, W. Borkowski, Brzesko, C. Paczowski, Kraków, J. Rosenbaum, Rzeszów, H. Kawecka, Tarnów, M. Schneeweiss, Rzeszów, T. Maiandowicz, Kraków, J. Osadziński, Nowy Sącz, K. Radoszewski Kraków, H. Biliński, Przemyśl, J. Nowacki, Lwów, J. Broda, Tarnów, G. Dankiewicz, Wieliczka, M. Waligórska Kraków, St. Ścieżka, Kraków, Z. Migdał, Tarnów, A. Kohn, Nowy Sącz, J. Opolski, Zakopane, T. Jagusiński, Kraków, D. Hirsch, Rzeszów, Z. Kosiński, Jasło, S. Krzyżanowski, Warszawa, L. Janicki, Kraków, M. Popiel, Warszawa, J. Radoń, Nowy Sącz, K. Zapałowska, Zakopane, F. Christ, Nowy Targ, J. Uiberall, Czyżyny, T. Rydel, Kraków, M. Szafrańska, Kraków, H. Wojciechowski, Warszawa, M. Celewicz, Lwów, M. Teiner, Kraków, J. Tomaszewski, Warszawa, Z. Rożański, Jasło, S. Sikorski, Lwów, J. Obst, Kraków, H. Immerglück, Kraków, H. Kalinowski, Jasło, B. Maiec, Kraków, K. Groszek, Lwów, S. Klimkiewicz, Jasło, K. Rybiński, Sądowa Wisznia, K. Wiluszówna, Krosno, M. Stachowicz, Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **p. L. Janicki, Kraków**. Po odbiór nagrody należy się zgłosić osobiście.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. P. Bogumiła Baziuk, Lwów. Rozwiązanie nadeszło już po oddaniu numeru na prasę drukarską. Pozatem nie odpowiada warunkom, gdyż w numerze 14 było zagadek sześć, a nadesłano rozwiązanie tylko jednej, tj. „Biletów wizytowych".

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor M. Lipińska Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego